

W 1961 roku dostałem się do najlepszego, no przynajmniej jednego z najlepszych, liceów ogólnokształcących w Łodzi, najstarszego w tym mieście liceum im. Mikołaja Kopernika, popularnego „Kopra”. Gimnazjum powstało w 1906 roku, założone przez przemysłową, łódzką rodzinę Hayman-Jareckich. Skorzystano z pewnej odwilży politycznej, po rewolucji 1905, roku w Królestwie Polskim. Przez lata rosła legenda „Kopra”, który wypuścił z cenzurem maturalnym późniejszych ministrów i mistrzów sportu, sławy lekarskie i znanych aktorów, jednym słowem była to swoista elita.

Kopernikowców można spotkać wszędzie, na całym dosłownie świecie i często można liczyć na szkolną solidarność. Spotykałem kolegów w Paryżu, Wiedniu, Tel-Awivie, Brukseli. Także moja klasa rozprysła się po całym świecie i tylko z niektórymi kolegami widzimy się, co pięć lat, na zjazdach absolwentów.

Oczywiście „Koper” był męskim gimnazjum. To fakt godny podkreślenia, bo byliśmy z tego niezwykle dumni.

Nas nie zmuszano do noszenia mundurków, a ni do śpiewania hymnu na apelach. Mundurki nosiliśmy z dumą, a hymn zna każdy do dziś.

Pieśń radosna, pieśń wesoła
Uroczyście niechaj brzmi
Gdy obchodzi nasza szkoła
Już stulecia swego dni.
Myśl genialna Kopernika
Niech jak gwiazda świeci nam
I przez lata szkolnej pracy
I po wyjściu z szkolnych bram.

Szkoło, nasza szkoło
Śpiewem Ci składamy cześć
Przyrzekamy, że twój sztandar
Nadal godnie będziemy nieść.

Z twojej przeszłości, z twoich tradycji
Dumny każdy z nas
Bo powstałaś w ogniu walki
Młodzieżowych łódzkich mas.

Nikczemnego wzrostu, trzynastoletni jeszcze młodzian, o blond kręconych włosach, wstąpiłem we wrześniu w szacowne mury szkoły, przywitany groźnym spojrzeniem pana woźnego Skorupy. Przydzielono mnie do klasy pani profesor Haliny Kamińskiej, tak zwanej klasy francuskiej, ponieważ drugim nauczonym językiem obcym, po obowiązkowym rosyjskim, był francuski.



Moja klasa IX C, rok 1962. Na pierwszym planie Wojtek Komorek i Zbyszek Szalapski, u góry pierwszy od lewej Wladek Frenkiel, ja drugi od prawej obok Zwardonia, za mna, późniejszy poeta Jacek Bierezin

Znalazłem się w otoczeniu dwudziestu czterech kolegów i szacownego grona profesorskiego, z którego każdy nauczyciel godzien jest osobnej opowieści.

Dyrektorem Liceum był Kazimierz Dobrowolski, wykladał w klasach maturalnych propedeutykę filozofii. Niezwykłej dobroci pan, bardzo lubiany przez uczniów i szczerze wspominany po śmierci.

Jego zastępczynią była pani Aleksandra Sachadyniuk, postawna, zawsze fatalnie ubrana kobieta. Aktywna partyjnie, stwarzała wokół siebie atmosferę

strasznie wymagającej i surowej, uczyła historii oraz wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. W gruncie rzeczy była jednak niewiastą o dobrym sercu i sprawiedliwą, o czym świadczą dwie poniżej opisane anegdotki.

Jak wspomniałem, pani Sachadyniuk ubierała się niedbale, zwykle chodziła w jakiejś czarnej sukni. Podczas przerw między lekcjami, nauczyciele mieli dyżury na korytarzach i w trakcie takiej pauzy, świeżo upieczony licealista, podszedł do niej z zapytaniem:

- Pani woźna, gdzie tu jest kibel?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią i na nieszczęśnika, a Sachadyniukowa, jak gdyby nigdy nic, pokazała mu gdzie jest toaleta i spokojnie wyjaśniła, że skoro nikt mu nie przedstawił jeszcze grona pedagogicznego, to ona dokona tego w klasach, na najbliższych lekcjach.

Druga historia dotyczyła mnie osobiście. Na przełomie 10 i 11 klasy wyjechaliśmy na obóz Ochotniczych Hufców Pracy. Było to połączenie wakacji i pracy w PGR (Państwowym Gospodarstwie Rolnym). Praca nie była nazbyt ciężka, a na koniec nawet wypłacano parę groszy zapłaty. Byłem na takim obozie rok wcześniej i wszystko było w miarę zorganizowane. Mielśmy przygotowane spanie i jedzenie, byle jakie, ale jedzenie. W tym roku natomiast było fatalnie. Wylądowaliśmy pod Sianowem (w województwie koszalińskim) i nikt nie był przygotowany na nasz przyjazd. Przerzucano nas kilka razy z miejsca na miejsce, tak, że w końcu z Jackiem Rembielińskim postanowiliśmy, dać dyla i wracać autostopem do Łodzi.

Oczywiście trzeba wiedzieć, że obozami OHP opiekowała się właśnie pani dyrektor Sachadyniuk. Oczywiście zostawiliśmy kolegom wiadomość, że zwiewamy do domu, ale tym niemniej spodziewaliśmy się ostrej nagany na początku roku, tym bardziej, że w klasie maturalnej mieliśmy lekcje z panią profesor, właśnie z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Sachadyniukowa weszła do klasy i po rytualnym wyczytaniu listy obecności, przystąpiła do uregulowania zaległości.

- Dwóch waszych kolegów dopuściło się podczas wakacji daleko idącej niesubordynacji, opuściło samowolnie obóz OHP. Niestety muszę przyznać, że mieli powody do podjęcia takiej decyzji, albowiem obóz był fatalnie zorganizowany. Poinformowałam już stosowne władze o tym fakcie, wskazując, że taka organizacja jest demoralizująca dla młodych ludzi. Krzysztofowi i Jackowi udzielałam ustnej nagany. Sprawę uważam za zakończoną.

Wybąkaliśmy grzeczne „przepraszamy”, ale mieliśmy ochotę ją uściskać. Przy każdej następnej okazji manifestowałam mój szacunek dla pani profesor. Gdy pracowałam już w Polskim Radiu w Łodzi, a pani profesor została odznaczona „Orderem Uśmiechu” (to też dowód jak była lubiana mimo pozornej surowości), popędziłam do starej budy, aby zrobić z nią stosowny wywiad.

Francuskiego uczyła nas pani profesor Janina Janowska. Urocza dama, pełna humoru i dobroduszości, traktująca nas trochę z przymrużeniem oka. Udawała, że jest strasznie wymagająca, ponieważ nie traktujemy języka Moliera z należną atencją.

- Francuski to nie jest język dla takich nicponiów jak wy. Niedługo będą matury rozdawać na rogu ulicy – krzyczała, ale umiała docenić każdą solidną pracę.

Sama była znakomitym znawcą języka i wraz z prof. Wacławem Siennickim, autorką podręcznika do nauki francuskiego dla klas licealnych.

Rosyjskiego zaś nauczał pan profesor Włodzimierz Uzdowski (nazwisko jak z „Końskiego nazwiska” Czechowa). Starszy pan o falujących siwych włosach. Bardzo dobry, wymagający, ale sprawiedliwy pedagog. W momencie, gdy wchodził do klasy musieliśmy obowiązkowo wstać i stać wyprostowani z rękoma przy spodniach. Wymagał bowiem, żeby „ruki były pa szwam”. Wymagał też dobrej znajomości przerobionego tematu i nie dał się zbyć byle odpowiedzią.

Jak wiadomo, „Oniegin” Puszkina zaczyna się od słów: „Oniegin rodiłsja na bieriegach Niewy”

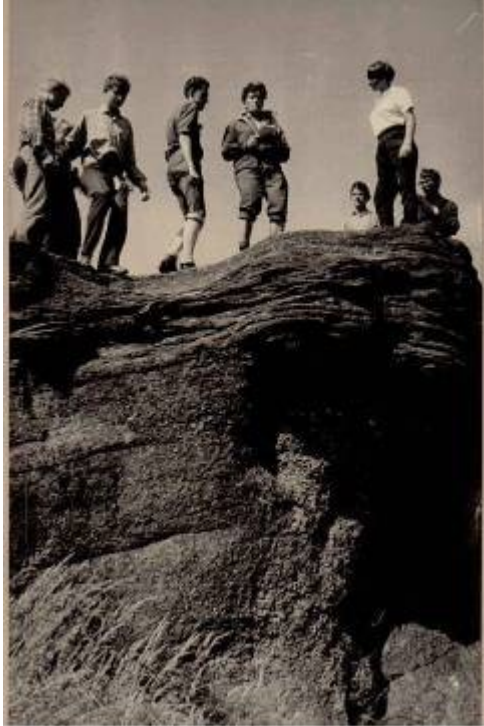
Pan profesor sprawdzając naszą znajomość Oniegina lubił zadawać pytanie: Gdzie urodził się Jewgienij Oniegin? I wtedy często padała wykuta odpowiedź:

- Oniegin rodiłsja na bieriegach Niewy.
- Na katorom? Na liewom ili na prawom – padało dodatkowe pytanie rozkładające ucznia na obie łopatki.

Bardzo lubianym przez nas profesorem był także Mieczysław Stańczyk, młody wykładowca historii, ale jaki profesor. Historia to był wówczas przedmiot, powiedzmy, bardzo śliski. Były wydarzenia, które były zakazane i były wydarzenia nakazane. Profesor Stańczyk nie przestrzegał tych reguł. Kiedy wykładał historię współczesną, bez żenady opowiadał nam o ZWZ i AK, dawał do zrozumienia, co się stało w Katyniu, nauczał prawdy o armii Andersa. Gdy potem porównywałem moją znajomość historii ze znajomością kolegów z innych szkół, stwierdzałem, że nic nie wiedzieli o polskim ruchu oporu poza działalnością Armii Ludowej czy Gwardii Ludowej, formacji z czasów II wojny światowej propagowanych przez obowiązującą władzę.

Profesor Stańczyk potrafił być też mściwy. Mimo, że lubiłem historię, zawsze na okres miałem tylko silną trójkę, ale kiedyś wykułem się solidnie i „Spinoza” (tak go przezywaliśmy) musiał mi postawić czwórkę. Doszedł jednak do wniosku, że to był wypadek przy pracy i na początku następnego kwartału natychmiast mnie wyrwał do odpowiedzi, kompletnie nieprzygotowanego i z satysfakcją udowadniał, że czwórka mi się nie należała. Ale poza tym był super. Lubił się z nami spotykać po lekcjach, jeździć na wycieczki, a i po latach, gdy spotykaliśmy się na jubileuszowych zjazdach, wyczuwało się w nim przyjaciela. Szkoda, że zmarł stosunkowo młodo. Mógł jeszcze wiele nauczyć następnych urwisów, następne „nędze litmanowskie”, jak lubił nas nazywać.

Wybitnym specjalistą od wycieczek i obozów był pan profesor Janusz Boissé, nauczyciel geografii i opiekun szkolnego harcerstwa. Takiego, urodzonego pedagoga, takiego miłośnika młodzieży, tak dla niej i z nią aktywnego, ze świecą szukać. Każdy absolwent „Kopra” od 1963 roku może zapomnieć swoich kolegów, ale na pewno będzie pamiętał profesora Boissé.



Skończyłem już liceum a jeszcze pojechałem z nim na obóz wędrowny.

Wycieczka koła geograficznego w Beskid Żywiecki i Śląski, Malinowa Skała, 9.09. 1965 (już po maturze). Stoję drugi od lewej, czwartu od lewej prof. Janusz Boissé

Przed jego przyjściem do „Kopra” geografii uczyła nas pani prof. Pasternak, ksywa „Kicia”. Blondyna o pretensjonalnym wyglądzie, która ponoć bardzo lubiła swoich uczniów ze starszych klas, także w sensie bardzo dosłownym. Ile w tym młodzieńczej

przechwały?

Chemii uczyła nas najpierw stara pani profesor Wolińska, a potem profesor Król. Ten ostatni został w annałach szkolnych na wieki, jako autor hymnu szkoły.

Do matematyki nie miałem szczęścia. Nauczyciele zmieniali się niemal, co roku. W pamięci został mi tylko profesor Kowski, który zabawnie tłumaczył pochodzenie swego nazwiska.

Otóż podobno jego pradziad nazywał się Pankowski. Po powstaniu styczniowym został zesłany na Sybir i przesłuchujący go żandarm rosyjski pytał:

- Kak twaja familia
- Pankowski

– Kajok z tebia pan, piszi jemu Kowski.

Pankowski czy Kowski, ale dzięki niemu polubiłem matematykę i osiągnąłem dobry wynik na maturze.

Nie sposób tu nie wspomnieć ulubionego naszego profesora wychowania fizycznego, Stanisława Subocza. Stary wiarus, kochał swoich nygusów. Każda lekcja w-f zaczynała się od marszu wkoło sali ze śpiewem na ustach. Pieśń była jedna i jedyna – „Oka”, która musiała przywozić profesorowi na myśl jego frontowe walki w I Armii Wojska Polskiego. „Szumi dokoła las...” – niosło się po sali. Marsz musiał być niemal wojskowy. Każde uchybienie było kwitowane uwagą:

– No jak leziesz Kazik, jak na odpust do Skoszew.

Subocz śmiesznie zaciągał na wschodnią modłę.

Ulubioną grą zespołową, wszystkich profesorów w-f była koszykówka. „Koper” dzierżył palmę pierwszeństwa w rozgrywkach międzyszkolnych. Kto był dobry w kosza, ten miał łatwą naukę w szkole. Subocz zawsze go wybronił.

Byłem w 10 klasie, kiedy pan profesor nagle zmarł. Cała szkoła była na jego

pogrzebie, a ja jeszcze długie lata później odwiedzałem jego grób. Kochany, dobry Subocz.

Największe problemy miałem z fizyką. Nijak nie wchodziła mi do głowy. W końcu jakoś doznałem do końca, a pani profesor Karpowa doszła do wniosku, że umiem nawet na 4.



Trudne odpowiedzi przy tablicy w XI C. 1965

No i na koniec wspomnień została moja wychowawczyni, pani profesor Halina Kamińska. Była młodą nauczycielką, dość przystojną kobietą. Była „starą panną” i mieszkała ze swoją matką Może, dlatego była trochę zgryźliwa w stosunku do grupy dorastających mężczyzn. Lubiliśmy ją i czasami nienawidziliśmy zarazem. W sumie pozostały raczej te miłe wspomnienia i stare uczniowskie przywiązanie, ale zazdrościłem trochę kolegom z innych klas, których polskiego uczył cudowny pedagog, pani profesor Stanisława Duszyńska.

Tak to była i jest szkoła ze wspaniałym gronem pedagogicznym. Niektórzy wykładowcy przeszli niemal do legendy, jak znany malarz, nauczyciel rysunku Antoni Wipel. To dzięki nim właśnie „Koper” znajdował się zawsze w ścisłej czołówce liceów w Polsce. Obecnie znów jest najlepszy.

* * *

Moja klasa to była zbieranina różnych indywidualności. Dominowali jednak młodzieńcy o zainteresowaniach matematyczno-fizycznych. Stąd większość moich kolegów wylądowała na Politechnice Łódzkiej lub na Akademii Medycznej. Na kierunkach humanistycznych znalazło się nas chyba tylko dwóch, a może trzech ja i dobrze zapowiadający się poeta Jacek Bierezin. Jacek był od dziecka dziwny, szalenie wybuchowy. Spotkaliśmy się po latach w Paryżu, gdzie próbował tworzyć swoje wiersze. Niestety tego pił i zmarł przedwcześnie. Wiersze pisał już w liceum i nawet mi się podobały. Mimo, że w szkole byliśmy zaprzyjaźnieni, później trudno go było lubić.

Najbliższymi moi kolegami byli Jacek Rembieliński, Rysiek Tabaka (obaj z tej samej ulicy) i Władek Frenkiel. Rysiek podobno wyjechał do Australii, a Władek wyemigrował z całą rodziną w 1968 roku na fali pomarcowej emigracji. Wyjechał wtedy też Marek Janowski (podobno mieszka w Antwerpii, ale nie potrafiłem go odnaleźć), Julek Flaischer z równoległej klasy osiadł w Danii. W Brukseli spotykałem często Rafała Czeruckiego z tej samej, co Julek klasy. Marek Sosnowski wylądował gdzieś w Stanach, ale wrócił i

mieszka w Warszawie. Niedawno dowiedziałem się, że Marek Szymański prowadzi jakieś interesy w Paryżu.



Moja klasa maturalna. Stoje w pierwszym rzędzie, trzeci od prawej. Siedzi grono profesorskie:

Od lewej: profesorowie Kowski, Uzdowski, Bossie, Sachadyiniuk, dyr. Dobrowolski, Kamińska, Karpowa, Wolańska i Stańczyk

„Co się stało z naszą klasą, pyta Adam w Tel-Awiwie...” – śpiewał Jacek Kaczmarski. Ano, co się stało?

Jak wspomniałem, jeszcze na początku lat sześćdziesiątych „Koper” był męski i dziewczyny mogły przekroczyć progi szkoły jedynie zaproszone na zabawy. My zaś chodziliśmy na „ubawy” do żeńskich liceów X i VII w aleji Kościuszki. I wszystko było dobrze, aż tu nagle pod koniec mojej 9 klasy gruchnęła wieść, że od nowego roku do „Kopra” będą przyjmowane dziewczyny. W męskich sercach zawrzało z oburzenia. Przywdzialiśmy jak jeden mąż szkolne mundurki z amarantowymi wypustkami i niemal chcieliśmy ogłosić strajk. Nie masz niewiast w naszej szkole... Żadnych kobiet w starej budzie, póki my żyjemy.

Cóż jednak mogliśmy zrobić? Decyzja zapadła w kuratorium oświaty.

Postanowiliśmy, zatem przyjąć śluby kawalerskie, że żadna nowa uczennica nie będzie godna nawet naszego spojrzenia, ale... obietnice nie wytrzymały dłuższej próby czasu. Lody i niektóre serca szybko pękły.

Ten fakt był również kanwą jednej z piosenek w naszym szkolnym kabarecie o „biednych, małych, zahukanych uczennicach”, które w końcu spowodowały, że to chłopcy stali się zahukani i zakochani. Śpiewaliśmy na melodię „Mukurity”

Gdy w mury Kopra zawitały uczennice,
Przed jego tradycjami drżały uczennice,
Ale ciekawym, jednym oczkiem uczennice
Zerkały w każdą, napotkaną chłopca twarz
Uczennice, ciche skromne, gładko uczesane
Uczennice co się bały w społeczeństwie chłopców żyć (...)
Nim minął jeden roczek strach swój przełamały,
Na pierwszym piętrze maturzystów całe roje,
A już i drugie piętro zaanektowały.
Na biednych chłopców wszystkie z góry patrzą dziś.
Biedni chłopcy, zakrzyczani, gładko uczesani,
Biedni chłopcy, którzy dwóje na tuziny łapią dziś...”

Tak padła ostatnia tradycja „Kopra”. Ostały się jedynie mundurki noszone z dumą po dziś dzień.

40 lat po maturze odbył się okrągły jubileusz „Kopra” – 100 lat. Kilka twarzy spotykałem ponownie z przyjemnością, tym bardziej, że niektórych nie widziałem egzaminu dojrzałości. Tak, odnalazłem Władka Frenkla, mego starego przyjaciela z maturalnej klasy, którego represje 1968 roku zmusiły do wyjazdu z kraju,. Po raz pierwszy, po latach spotkałem też Adasia Bartelę. My trzej i Marek Roźniecki zrobiliśmy sobie po maturze wspólne zdjęcie i teraz mogliśmy zrobić nowe zdjęcie w tym samym składzie. Oto rezultat:



Pozostawiam porównanie tych zdjęć bez komentarza, ale Marek Rożniecki stwierdził:

- Jeszcze możemy się kobietom podobać. I pozostajemy w tym przekonaniu!

Jednakże, to nie spotkanie z kolegami z klasy zrobiło na mnie największe wrażenie. Kiedy w sali Filharmonii przedstawiano starych profesorów, wymieniono panią prof. Pasternak i wtedy wstała mała zasuszona staruszka. Po sali poszedł szmer: „Kicia”. Tak to była kiedyś młoda kobieta o blond włosach, dużym biuście, w krótkich spódniczkach, za którą wzdychali chłopcy ze starszych klas, i którym pozwalała się adorować.

Niestety czas nie oszczędził nikogo. Gdzie się podziały tamte dziewczyny? A przecież było kilka obiektów męskich westchnień.

